Cena pojedyń. numeru 40 groszy.

Należność pocztowa uiszczona ryczałtem

Nr. 14 (70) Warszawa, 30 marca 1930 roku. Rok II

PLACÓWKA

POLITYCZNA — SPOŁECZNA — GOSPODARCZA — KULTURALNA

Pismo tygodniowe dla wszystkich

Czytajcie w dzisiejszej PLACÓWCE

NA PORZĄDKU DZIENNYM

Nr. 12-13 „Placówki" został z polecenia Komisarjatu Rządu

SKONFISKOWANY

z powodu artykułów:

1) Quousque tandem?

2) Na marginesie ostatniego artykułu marsz. Piłsudskiego

Gdzie prokurator?

Silny rząd

IV.

BATORY A SEJM.

Niedostateczne i powierzchowne wykształcenie historyczne prowadzi często do zupełnie fałszywych analogji i wniosków życiowych, pozwala demagogom pod osłoną pięknie brzmiących frazesów przemycać najniedorzeczniejsze poglądy i najszkodliwsze tendencje polityczne.

Co szeroki ogół polski wie np. o jednym z najwybitniejszych naszych monarchów, Stefanie Batorym? Że prowadził zwycięską wojnę z Moskwą, i że walczył o swoje prerogatywy z Sejmem. Ale i o Zygmuncie III np. wiadomo dokładnie to samo: też bił się zwycięsko z Moskwą, i też walczył z Sejmem. Ba, triumf militarny Zygmunta był nawet większy bodaj niż Batorego; tamten odebrał Inflanty i Połock, a ten, nietylko odzyskał Smoleńsk, ale zdobył Moskwę. A i w t. zw. walce z Sejmem osiąga większe nieraz powodzenia bezpośrednie, niż Batory. Mimo to nigdy chyba nie możnaby trafniej, niż tutaj, zastosować łacińskiego przysłowia: Si duo faciunt idem, non est idem, — jeśli dwu ludzi czyni to samo, to nie jest to samo. Mimo więc podobieństwa pewnych ważnych nawet danych faktycznych, ocena tych dwu panowań musi wypaść wprost przeciwnie: Stefan Batory był jednym z najlepszych, Zygmunt III — jednym z najgorszych królów polskich.

Chodzi o to, że **nie wystarczy stwierdzać** pewne fakty historyczne, ażeby mieć prawo wysnuwać z nich wskazania i wnioski. **Trzeba przedewszystkiem gruntownie i dokładnie poznać same fakty, trzeba nadto zbadać ich przyczyny i skutki, przeniknąć istotne motywy i zamierzone cele danego postępowania, oraz jego rzeczywiste konsekwencje.**

*

W znanych słowach, które król Stefan Batory miał wyrzec na pierwszym zaraz Sejmie, zwołanym za rządów swoich: „Non sum rex pictus", (Nie jestem królem malowanym)—dopatruje się najbardziej rozpowszechniona opinja ogółu groźby pod adresem Sejmu i chęci wzmocnienia władzy królewskiej kosztem praw sejmowych.

Jest to zbyt naiwne i zbyt uproszczone pojmowanie sprawy.

CO MÓWIĄ FAKTY?

Otóż Senat przedewszystkiem szedł stale niemal ręka w rękę z królem, wspomagając nieobeznanego ze stosunkami polskiemi cudzoziemca radami swemi, pracami i ofiarnością. Ale także i Sejm przez cały czas wojny moskiewskiej np. stał na wysokości historycznej chwili: trzy Sejmy kolejne uchwaliły niebywałej dotąd wysokości podatek (po złotemu od łanu) na sześć lat z rzędu, przyczem trzeci uchwalił go z góry na dwa lata. Tylko dzięki temu solidarnemu poparciu ze strony przedstawicielstwa narodowego, dzięki jego hojności i zaufaniu król mógł tak energicznie prowadzić tę wojnę i zakończyć ją z tak wspaniałem powodzeniem. **Trudno też o bardziej wymowne i pouczające świadectwo historji, jak ten triumf wolnego narodu, zorganizowanego na podstawach swobód obywatelskich i parlamentarnego ustroju, nad narodem niewolników, ślepo uległych swemu panu i władcy, żywiących dla niego kult boski.**

Jak o rzeczy niepojętej a wstrętnej pisze o ówczesnych stosunkach moskiewskich współczesny polski świadek, nawiasem mówiąc wierny stronnik Batorego, historyk Heidenstein:

„Woli monarchy — powiada o Moskwie — jak przykazania boskiego, wszyscy słuchają. Ma on nad nimi prawo życia i śmierci, a nad ich mieniem nieograniczoną władzę... Zarzucają carowi Iwanowi niepomiarkowane okrucieństwo... Mimo to car tak jest czczony i tak ma wiernych poddanych, że uwierzyć temu z trudnością przychodzi". *)

„Bożku moskiewski, tak zwany przez nieszczęśliwych niewolników!" — pisze w znanej odpowiedzi na impertynencki list Iwana król Stefan Batory— mówisz żem zdrajca ty, co fałszujesz traktaty?"

I dołączył do listu książki niemieckie z opisem bezprawi i zbrodni carskich.

Człowiek, który z takim akcentem szczerej pogardy i wstrętu mówi o władzy, zbudowanej na podstawach autokratycznych, oraz o fałszowaniu umów, sam nie może być autokratą, i sam nie może łamać zaprzysiężonej przez siebie Konstytucji. Ale też tembardziej nie zniesie, aby łamali ją inni, nie ścierpi samowładczych zapędów cudzych.

Otóż w Polsce ówczesnej **miał się Stefan spotkać z takiem właśnie dążeniem do bezwzględnej samowoli, połączonem z lekceważeniem prawa.** Były to dążenia szlachty, — ściślej mówiąc, stronnictwa, które reprezentowało ciasną, samolubną, stanową i osobistą, politykę szlachecką, zmierzając do wszech władzy, do wyniesienia się nietylko ponad króla, ale i ponad Sejm i ponad samo prawo. **Na czele tego stronnictwa stanęli Zborowscy, Górka, Pękosławski, Niemojowski, Kazimirski** i inni. Podstawą ich działań wichrzycielskich nie był **żaden program pozytywny,** ale motywy niemal wyłącznie osobiste: **żądza nieodpowiedzialnej przed nikim władzy, chciwość zaszczytów i bogactw. Uważali się za urodzonych panów Polski, którą traktowali jak swoją prywatną własność, jak folwark szlachecki.**

„Było wielu takich, — pisze Heidenstein, — którzy się od króla bardzo dużo spodziewali, a kiedy dla wielu trudności, król choćby i chciał, przy największej hojności, zadowolnić by ich nie mógł, nierozsądnie chciwi odstrychnęli się od niego. Na elekcji każdy szlachcic ma głos, wielu więc było takich, którzy dobrodusznie myśleli, że król im winien królestwo, bo za nim głosowali". **)

Stronnictwo to uznawało władzę króla, jak również Sejmu i Senatu, o tyle tylko, o ile szła im na rękę i póty, póki dla ich uroszczeń nie zaczynała wydawać się im groźną. Wtedy bez żadnego skrupułu, sabotowali, hamowali, jak mogli, zarówno działalność króla, jak Sejmu i Senatu.

W tem tkwi sedno sprawy: **nie król to bynajmniej, jak mniema wielu, walczył z Sejmem. Walczyła z Sejmem wspomniana partja szlachecka, dążąc do ograniczenia jego pola działania, odmawiając mu kompetencji w różnych sprawach,** prawując się z nim po pieniacku i gubiąc się **w formalnych wąt-**

---

*) Heidenstein. „Dzieje Polski" przekł. Gliszczyńskiego, Petersburg 1857, t. I. str. 296.

**) Heidenstein, tamże, I, 332.

pliwościach, ograniczając wreszcie czas trwania Sejmu do sześciu tygodni, nie pozwalając, bez względu na ważność spraw, ani na godzinę dłużej. W ten sposób **udało się temu stronnictwu rozbić za Batorego trzy Sejmy:** z 1576, 1582 i 1585 r.

Kiedy pod koniec Sejmu 1585 r. król przez senatorów prosił posłów, aby raczyli zostać jeszcze dzień jeden, dla wyczerpania porządku dziennego, kiedy senatorowie dla uspokojenia ich nieufnych podejrzliwych umysłów proponują im.

„ażebyście W Mci nie rozumieli, żeby się constitutio o 6 niedzielach sejmowania w tem naruszyć miała..., to niech się wszystko pod datą dzisiejszą dzieje, — to zrazu pozwoliło się — czytamy w djarjuszu sejmowym—choć za wielkiemi alterkacjami"... — ale po odejściu tych senatorów Kazimirski rzekł:

Patrzajcie, na co ciągną, ażeby się nam sześć niedziel wywierzgnąć mogli, a potem sejmować by tak długo chcieli, iżby drugiemu się Sejm uprzykrzył i do domu by rad jechać. „Nie pomogły przekładania, że chodzi o ważne sprawy. Kazimirski się porwał i z kilkunastu wyjechał".[1]) Sejm wbrew, nietylko chęci, ale prośbom, naleganiom królewskim został zerwany.

Całem zachowaniem się swojem, każdem słowem, każdym gestem **Batory usiłował podnieść powagę i znaczenie Sejmu i Senatu, i wykazać swój szacunek dla prawodawców i przedstawicieli narodu.** Oto przykład charakterystyczny:

—Król na Sejm 1585 r. przyjechał 12-go stycznia. Powitała go koło Grochowa wysłana w tym celu na spotkanie delegacja senatorów. W jej imieniu przemówił marszałek wielki koronny, Andrzej Opaliński. Otóż, **„póki mówił** — zapisuje z satysfakcją widoczną autor djarjusza — **i póki król J. Mć. respons dawał, choć na mrozie król czapkę zdjąwszy, na koniu stał".**[2])

Ambicją króla było czuć się rozumianym i zespolonym w uczuciach, myślach i pracach z narodem i jego parlamentem, którego ambicje w kierunku pracy samodzielnej i twórczej także nieustannie podniecał. **„Moja bowiem chwała waszą jest** — jak powiedział na Sejmie 1585 r. — i **naodwrót, wasza** chwała moją jest", (Mea enim glorja vestra est, et deinceps vestra glorja mea glorja est).

Ale panowie Zborowscy, Pękosławscy, Kazimirscy et consortes, myśleli inaczej. „Państwo to my! to szlachta!" — mówili sobie. Wszystko — nawet prawo samo i jego wymiar miało być podporządkowane interesom szlacheckim.[3]) Król, podobnie jak posłowie i senatorowie, mieli odgrywać rolę jedynie posłusznych pełnomocników szlacheckich, i póty byli tolerowani, póki się pełnomocnictw pokornie trzymali. Z chwilą, gdy je przekraczali, stawali się przeciwnikami, nieomal zdrajcami stanu, groźnymi dla szlachty, to znaczy, w jej mniemaniu, — dla państwa.

Ażeby podkreślić tę rolę króla, jako pełnomocnika szlachty, zależnego od szlachty wprost, a nie za pośrednictwem dopiero Sejmu i Senatu, **stronnictwo** to włączyło w swój program elekcję viritim, czyli **plebiscyt na króla.** Po rozdwojeniu głosów, jakie wystąpiło po ucieczce Henryka, plebiscyt szlachecki po raz pierwszy, wbrew głosom senatorów i części posłów, miał zdecydować i rzeczywiście zdecydował o wyborze Batorego. Zasada ta utrwaliła się odtąd i przynieść miała w przyszłości swoje opłakane owoce. Batory był pierwszym królem, który w opinji warchołów szlacheckich, miał odgrywać rolę pionka biernego w ich rękach. Ale trafiła kosa na kamień. **Do nich to, nie do Sejmu, ale do demagogów, sabotujących pracę zarówno króla jak i Sejmu, i rozbijających Sejmy,** rozległy się zaraz na pierwszym Sejmie toruńskim, poważne i oględne zawsze w formie, ale jasne i mocne w treści, słowa Batorego, słowa, ktoremi nie atakował nikogo, ale bronił siebie, bronił godności swojej i zarazem Senatu i Sejmu:

„Nie w chlewie, ale człowiekiem wolnym urodziłem się, ani mi też nie zbywało na jedzeniu i odzieży, zanim do tej ziemi przybyłem. Wolność moją kocham i w całości ją zachowam. Z woli Bożej królem waszym przez was obrany zostałem. Przybyłem tu wskutek waszych próśb i nalegań.

Wy sami włożyliście mi koronę na głowę. Jestem więc waszym rzeczywistym, a nie malowanym monarchą... Bądźcie stróżami wolności waszej—to dobrze. Ale... tak strzeżcie wolności waszej aby się w swawolę nie wyrodziła".[4])

Na Sejmie r. 1578 zdarzyło się, że posłowie trzech województw wystąpili przeciw zgodnej uchwale większości o podatkach wojskowych. Wtedy pod naciskiem burzliwej mniejszości uznano za konieczne odwołać się do sejmików tych województw, gdyż **„poseł jest jako list** (powiadano,) **który się więcej domyśleć nie może, jeno co weń napiszą".** Tem samem **uznano zasadę wyższości sejmików nad Sejmem.**

Nie król więc, jak się zdaje, — pisał już w r. 1886 arcy - ostrożny w sądach Winc. Zakrzewski,— **ale szlachta podkopywała powagę sejmu walnego,** skoro dawała tak często ograniczone tylko pełnomocnictwa swoim posłom. Król z konieczności musiał się do sejmików odwoływać, co mu nie smakowało z pewnością".[5])

Otóż **odwoływanie się do sejmików nie było niczem innem jak apelowaniem ponad głowami Sejmu i Senatu do ogółu, do plebiscytu, do szlacheckiego tłumu.** Prawidłowa władza, tak prawodawcza jak wykonawcza (jak też zobaczymy to dalej, i sądownicza także) miała być podporządkowana samowoli garści nieodpowiedzialnych demagogów.

Król się tym dążeniom z całej mocy przeciwstawiał. Walczył nie z Sejmem, walczył o Sejm, walczył o prawo.

Ten charakter ówczesnych zmagań się wewnętrzno-politycznych za Batorego zarysował się z całą wyrazistością na pamiętnym Sejmie z r. 1585, na którym sądzono sprawę Zborowskich.

Irena Pannenkowa

---

[1]) Czuczyński: Djarjusz Sejmu 1585 (Script. rer. Pol., XVIII), 1908. 311 - 312.

[2]) J. w. str. 1 — 2.

[3]) Por. Zakrzewski Winc. „Stefan Batory", str. 19.

[4]) Heidenstein, I. 265.

[5]) Zakrz., 41.

Dyplomacja polska

II.

Pierwszy „krok pokojowy"

O układzie z Niemcami, t. j. o umowie warszawskiej z dn. 31 października, pan Minister Zaleski mówi niechętnie, dyskusję o niej odracza do ostatka, aż do chwili gdy Sejm będzie miał ją ratyfikować, czyli gdy się okaże czy ją ratyfikuje parlament niemiecki. Czy sądził może, że ona nie ma realnego znaczenia, że tak czy owak do skutku nie dojdzie, a pozostanie tylko platonicznym wyrazem naszej gotowości do ofiar na rzecz pokoju i zgody? Chyba nie, gdyż było mu bardzo pilno złożyć ją w Hadze i złączyć z paktem Kelloga, z którym w istocie niema nic wspólnego.

Raczej możnaby przypuszczać, że nie mając nadziei, aby Sejm polski spokojnie przyjął do wiadomości, rozmiary i charakter ustępstw uczynionych Niemcom, wolał postawić Izbę wobec fatku nieomal dokonanego, przerazić ją odpowiedzialnością za niedojście do skutku układu już gotowego, a wymagającego tylko niby czczej formalności — dla uprawomocnienia się, — to jest uchwały Sejmu.

Im bliżej się zastanowić nad treścią układu, tem lepiej się rozumie, że podobną umowę można pogodzić nawet z obstawaniem przy rewizji granic. Wszakże Niemcy zastrzegają się, że do tej rewizji zmierzać będą tylko „środkami pokojowemi". — Nie powiedziano im dotąd oficjalnie tego, co powinno było być powiedziane bezpośrednio po pierwszem takiem odezwaniu się. „Niema środków pokojowych okrojenia Polski; niema Polaka, któryby chciał i ośmielił się traktować o ustąpienie jakiejkolwiek cząstki swej ojczyzny".

Istotnie trudno było wyobrazić sobie, jak te środki pokojowe wyglądać mogą. Otóż umowa warszawska nam to tłumaczy; jest ona pierwszym krokiem do uszczuplenia terytorjum Polski od zachodniej strony.

Prowadzi ona w każdym punkcie i w całości swej do tego, **by utwierdzić, umocnić i rozszerzyć niemiecki stan posiadania na naszem zachodniem pograniczu**, otworzyć naoścież drogę dla wpływów niemieckich, dla ingerencji władz niemieckich w **nasze sprawy wewnętrzne** w byłym pruskim zaborze, a nawet poddać nasze stosunki handlowe z zachodem **pod kuratelę niemiecką**.

Każdy układ winien polegać na wzajemności; daje to — za to.

W umowie warszawskiej trudno się doszukać czegoś, co otrzymalibyśmy od Niemców za wszystkie ciężkie i doniosłe ustępstwa czynione im z naszej strony. Jeżeli nawet formalnie wygląda jakiś punkt tak, jakby to było zrzeczenie obustronne, to są to tylko pozory.

Co do wzajemnych pretensji pieniężnych, które mają zostać skreślone, to z naszej strony chodzi o bardzo konkretne, ściśle dające się określić sumy, o rzeczywiste wydatki, które rząd polski i tak będzie musiał ponieść, czy na to od rządu niemieckiego otrzyma on środki, czy nie. Z tytułu ubezpieczeń górnośląskich należy się nam od Niemców 27 miljonów złot. mar. za emerytury wojskowe i cywilne wypłacane przez Polskę 35 miljonów złotych marek. — Te pieniądze są poprostu niezaprzeczoną własnością obywateli państwa polskiego, ich oszczędnością. Do tej samej kategorji należą tu i inne pozycje, np. zwrot zasiłków wypłacanych przez samorządy w czasie wojny na rachunek państwa niemieckiego, odszkodowania za rekwizycje i t. p.

Pretensje niemieckie składają się natomiast prawie wyłącznie z pozycji spornych i wątpliwych o nieokreślonej dotąd wysokości.

Chodzi tu przeważnie o dopłaty likwidacyjne za mienie niemieckie oszacowane wedle opinji niemieckiej za nisko przy likwidacji, a ocenianej dziś przez Niemców na fantastyczne sumy. Mieszany polsko-niemiecki trybunał w Paryżu, który miał te pretensje rozpatrzeć, nie wydał w tej sprawie ani jednego wyroku, ale utworzona przezeń —komisja rzeczoznawców zbadała i oszacowała wnioski, niesłychanie dalenie od fantastycznej sumy miljonów, z których dziś Niemcy łaskawie zdecydowali się zrzezygnować.

Nie może być mowy o wzajemności, gdy my zrzekamy się dalszej likwidacji własności niemieckiej. Wiemy, jak się Niemcy obchodzili z własnością polską bezpośrednio po rozbiorach.

Wszystkie dobra kononne zostały wówczas zagarnięte na skarb, porozdawane zasłużonym generałom lub dygnitarzom cywilnym pruskim i stąd biorą początek najdawniejsze i najliczniejsze latyfundja pozostające w niemieckich rękach w Wielkopolsce i na Pomorzu. W późniejszych czasach polityka pruska systematycznie zmierzała do umocnienia niemieckiej własności ziemskiej a zmniejszenia polskiego stanu posiadania, łożąc na ten cel ze skarbu państwa, zasilanego przecież w równej mierze podatkami z polskich i niemieckich kieszeni.

Mieliśmy tedy po wojnie nietylko takie samo lecz lepsze prawo do szybkiego zlikwidowania własności niemieckiej jak inni sprzymierzeni. Nie śpieszyliśmy się z tem w pierwszych latach, a później zaczęły się z Niemcami targi o zwłokę i ustępstwa a równocześnie rząd niemiecki rzucił pozostałym w granicach Polski Niemcom nakaz, by pozostali na miejscu, trwali i czekali cierpliwie.

Jakoż doczekali się.

Polska nie wydaliła niemieckich optantów i pozostawiła nieruszone najrozleglejsze dobra magnatów niemieckich, zajmujące bardzo znaczną część obszaru naszych województw zachodnich. Choć Niemcy stanowią tam 11 — 12 proc. ludności, na jednego Niemca wypada w Poznańskiem 4 razy więcej ziemi niż na jednego Polaka, na Pomorzu 7 razy więcej, na Górnym Śląsku 25 razy. Ten sam rząd polski, który w innych województwach tak energicznie przeprowadza reformę rolną, który nie waha się na wywłaszczonej ziemi polskiej osiedlać t. zw. ukraińców, Białorusinów, a jaknajmniej Polaków, w województwach wschodnich, tutaj pozostawia nietknięte rozległe dobra niemieckie, jakkolwiek przy względnie małem zaludnieniu takiego np. Pomorza, znalazłyby się tam bardzo dogodne tereny dla osadnictwa polskiego.

To uprzywilejowanie własności niemieckiej i tak zasilanej obficie tanim kredytem ze źródeł rodzimych, więc posiadającej znacznie korzystniejsze warunki gospodarcze niż własność polska, w zestawieniu z zawziętem, nieubłaganem tępieniem wła-

sności ziemskiej polskiej przez Niemcy w czasach przedwojennych, narzuca wręcz uwagę, że nie można chyba dalej się posunąć niż my w stosowaniu ewangelicznej zasady: „On na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem". Kamienie dla nas, chleb dla Niemców daje ziemia polska.

Bardzo charakterystyczny fakt — ilustrujący to uprzywilejowanie Niemców cytuje prof. Bohdan Winiarski w swej broszurze „Zachód zagrożony".

„Było to w roku 1924. Szybką akcję likwidacyjną dotkliwie wstrzymywał brak funduszów, a p. Wł. Grabski powiedział mi, że na likwidację nie da ani grosza; było to po wprowadzeniu złotego polskiego. Zwróciłem się więc do Państwowego Banku Rolnego, aby go zainteresować kupnem majątków likwidacyjnych na parcelację. Odmówiono mi w słowach następujących: Niemcom płaci pan słuszną cenę, a my tu z rąk ziemian Polaków, których się przycisnęło możemy kupić za bezcen tyle ziemi, ile chcemy".

„Przyciśnięci" ziemianie polscy godzili się ze swym losem; niemieccy właściciele zlikwidowanych majątków wytaczali przed trybunałem w Paryżu skargi o wielomiljonowe dopłaty!

Najgorzej jednak wygląda w układzie warszawskim sprawa zrzeczenia się przez Polskę prawa pierwokupu od osadników niemieckich, pozostałych po pamiętnej Komisji Kolonizacyjnej. Ażeby raz na zawsze zapewnić się, że wydarta z rąk polskich ziemia nigdy już w ręce polskie nie wróci, zastrzegał sobie rząd pruski wobec osadników niemieckich pierwszeństwo odkupienia ziemi z powrotem w razie śmierci właściciela lub w razie zamierzonej sprzedaży. Właściwie taki kolonista niemiecki, był tylko dożywotnimi warunkowym właścicielem swego gruntu.

Po wojnie rząd polski przejął prawa przysługujące rządowi niemieckiemu i zachował je w stosunku do polskich kolonistów, którzy nabyli opuszczone przez Niemców osady. Obecnie umowa warszawska zrzekł się tego prawa w stosunku do 12.000 osad pozostałych w rękach niemieckich.

Jak widzimy, jest to przyznanie niemieckim kolonistom własności bezwarunkowej, której im rząd niemiecki przed wojną nie udzielił, obdarzenie ich przywilejem w porównaniu z kolonistami polskimi, a przedewszystkiem sankcjonowanie i zatwierdzenie politycznego celu, dla którego Komisja Kolonizacyjna została stworzona. Nad tem, aby te kolonje niemieckie nigdy w ręce polskie nie przeszły, czuwać będą napewno także organizacje niemieckie jak Ostmarkenverein, a skarb Rzeszy nie przestanie zasilać tego i innych podobnych stowarzyszeń obfitemi zasiłkami, by utrzymać w kwitnącym stanie te forpoczty niemieckiego „Drang nach Osten". A przecież na mocy prawa przysługującego naszemu rządowi, a ustanowionego przez samych Niemców, tak łatwo było w ciągu najbliższych 40 — 50 lat odzyskać tą odwiecznie polską ziemię dla naszego ludu — szukającego sobie roli pod uprawę, za morzami, za górami, aż w puszczach peruwiańskich!!

Rząd tym układem zrzekł się nietylko takiej realnej wartości jak ziemia, lecz znacznie cenniejszej jeszcze, bardziej nietykalnej t. j. swej roli wyłącznego gospodarza i władcy w granicach Polski. Jakiem prawem układ z obcem państwem może normować stosunek władzy polskiej i skarbu polskiego do polskich obywateli, jakiemi są owi koloniści niemieccy? Jakiem prawem rząd polski dopuścił do takiej zagranicznej opieki nad częścią ludności i cząstką ziemi polskiej?

Po takim precedensie, jakże szybko możemy się doczekać prób kontroli zewnętrznej nad wykonywaniem układu, wtrącanie się ile razy zajdzie okazja do zamącenia stosunków między władzą polską a niemieckimi osadnikami i otoczenia ich opieką przeciw polskiej „zachłanności!"

Większość tych dotąd nie wykupionych osad znajduje się na obszarze zwanym „Korytarzem pomorskim". Z chwilą kiedy nasz własny minister Spraw Zagranicznych otworzył furtkę dla tego rodzaju ingerencji, możemy być pewni, że sąsiad z zachodu, obwieszczający wszem wobec, że „korytarz niemiecki" jest absurdem nie dającym się utrzymać, że wytwarza stosunki niemożliwe do zniesienia, postara się, by te kłamliwe słowa znalazły potwierdzenie w faktach i to jaknajdrastyczniejszych, jaknajhałaśliwiej rozgłaszanych.

Przypomnijmy sobie, ile zamętu tenże sam sąsiad zdołał wywołać z racji różnych drobiazgowych zatargów z wolnem miastem Gdańskiem! Przecież nie było w ciągu kilku pierwszych lat ani jednej sesji Ligi Narodów, bez jakiegoś wielce głośnego i zaognionego procesu o minimalny objekt, np. o skrzynki pocztowe z orłem białym na rogach ulic gdańskich!

A działo się to wtedy, gdy Niemcy wcale do Ligi Narodów nie należały a Gdańsk pozostawał wyłącznie pod opieką Polski, uprawnionej do prowadzenia jego spraw zagranicznych wobec Ligi Narodów!

Teraz, gdy po załatwieniu wszelkich spraw spornych między niemi a ich sąsiadami z zachodu do ewakuacji Nadrenji i uregulowaniu sprawy odszkodowań, rewizja granic wschodnich stoi u nich na najbliższym punkcie porządku dziennego, nie można się łudzić, aby nie miała się rozpocząć serja jątrzących konfliktów na terenach upatrzonych przez nich do reanneksji. Zamiast dążyć jaknajusilniej do szczelnego zamknięcia im drzwi przed nosem i zatkania wszystkich szparek, przez które mogłaby przeniknąć ich intryga do naszych wewnętrznych stosunków, czynimy ich poniekąd urzędowymi opiekunami żywiołu niemieckiego w Polsce, gwarantami nietykalności wielkich latyfundjów i drobnych osad, pozostałych w niemieckich rękach. Pozwolimy im wbijać łom w najwrażliwszy punkt naszego terytorjum, w naszą drogę do morza, i jeszcze przykładamy urzędową pieczęć do tego narzędzia rabunku!

To się nazywa dokonywaniem zaboru za pomocą środków pokojowych! Niemcy sami stwierdzili, że umowa warszawska utrwala w Polsce 80 tysięcy Niemców, a w ich rękach 200 tysięcy hektarów ziemi.

To już wcale niezły punkt oparcia dla wysadzenia z posad siły polskiej na świeżo odzyskanym terenie.

A za te wszystkie podarunki cóż ma otrzymać Polska?

Traktat handlowy — dopuszczający eksport polskiego węgla, zboża i świń do Niemiec w ilościach, terminach i po cenach normowanych przez konsorcjum mieszane, rezydujące w Berlinie pośredniczące w tym eksporcie. Wzamian za to my zga-

Dyplomacja polska (c. d.)

dzamy się na import wyrobów przemysłu niemieckiego do Polski.

Sfery rolnicze, zgnębione obecnym kryzysem roją, że ten szczęśliwy początek częściowego otwarcia granicy niemieckiej stanie się punktem wyjścia dla ogólnej naprawy stosunków gospodarczych, że nietylko odciąży nasz rynek zbożowy lecz spowoduje napływ kapitałów, otworzy źródła kredytu i t. d. — Można powinszować optymizmu!

Barjera, odgradzająca naszą wymianę towarów z zachodem — do Niemiec i przez Niemcy, nie zostanie bynajmniej obalona ale klucz do tej barjery — ustanowionej przez wojnę celną, za naszą zgodą przejdzie w ręce niemieckie. W miarę jak tego interes Niemiec wymagać będzie, otworzy się ona szerzej lub ciaśniej, na dłuższą lub krótszą metę, a może się też lada chwila zatrzasnąć w momencie, gdy to będzie sprzyjało widokom wywołania niebezpiecznego kryzysu gospodarczego w Polsce. Wiemy, jak umieją Niemcy pod pierwszym lepszym pretekstem utrudniać stosunki handlowe z sąsiadami nawet sprzymierzeńcami, gdy to służy ich materjalnym interesom.

Przed wojną, pod pozorem zabezpieczenia się od zawleczenia zarazy, której po drugiej stronie granicy wcale nie było, zabronili przewozu bydła i mięsa z Rosji i Królestwa Polskiego. Jednakże na kilka miesięcy przed wybuchem wojny znieśli a może tylko zawiesili ten zakaz i zaczęli na wielką skalę zakupywać bydło i mięso w rzekomo zarażonem sąsiedztwie. Chodziło o zaopatrzenie w konserwy mięsne wojska, mającego niebawem wyruszyć w pole.

Tak jest: powinniśmy sami pamiętać o sobie i na siebie liczyć ale też w tym celu nigdy nie oddawać swoich żywotnych interesów w cudze ręce, przedewszystkiem w ręce wrogie ale również nie w ręce sojuszników i przyjaciół.

Fakt, że nasi sprzymierzeńcy żądali od nas porozumienia z Niemcami, bynajmniej jeszcze nie wymaga abyśmy mieli do tego porozumienia zdążać na wszelkich warunkach i za wszelką cenę. Nasza zbyt daleko posunięta ustępliwość jest i dla nich bardzo złym interesem. Nigdy się na tem dobrze nie wychodzi, gdy dla przejednania wrogów rzuca im się przyjaciół na pożarcie. Przez to tuczy się tych, po których się wszystkiego obawiać można, a pozostaje skóra i kości z tych, na których należałoby się oprzeć.

Uczciwa polityka nakazuje lojalność w stosunkach z obcemi państwami, ale nigdy nie wymaga — a nawet nie uprawnia poświęceń i całopaleń. Ofiarność i bezinteresowność wolno ministrowi uprawiać w stosunkach prywatnych, osobistych, gdyż te cnoty spełnia on na własny koszt i rachunek, pod tym względem nikt panu Zaleskiemu żadnych warunków ani ograniczeń stawiać nie będzie. Nie wolno mu jednak praktykować tak dalece posuniętej abnegacji imieniem 30 milionowego narodu, który mu obronę swych interesów powierzył, nawet gdyby miał przez to zasłużyć sobie na pochwały dwóch części świata i nagrodę Nobla. Polska go za to bynajmniej nie pochwali — przeciwnie zarówno współczesne jak i przyszłe pokolenia mogłyby go za to pociągnąć do bardzo surowej odpowiedzialności.

Iza Moszczeńska.

KULISY POLITYKI

Echa, niedyskrecje, zgrzyty...

UCIECZKA P. BARTLA.

„Bomba" p. Bartla na posiedzeniu Senatu w dn. 12 b. m. nikogo w Sejmie nie zdezorjentowała. Im bliższą była chwila głosowania nad pierwszym z zgłoszonych wniosków o votum nieufności dla p. Prystora, tem jaśniejsze się stawały motywy tego premjerowskiego manewru. Coraz więcej prawdopodobieństwa zyskiwała hypoteza, że p. Bartel prowokuje sam swoje odejście, zdając sobie nareszcie sprawę z tego „impasu", w jaki popadł na skutek zbyt długiego tolerowania polityki „dwu torów".

Deklaracja solidarności gabinetu, złożona przez p. Bartla na posiedzeniu Sejmu w dn. 14 b. m., przesądziła ostatecznie jego los.

Pchnęła bowiem do głosowania za wnioskiem socjalistycznym nawet te grupy, które ujawniały dotąd raczej pewną neutralność, jeśli nawet nie życzliwość, wobec akcji p. Prystora w Kasach Chorych.

Z chwilą jednak, kiedy Sejm usłyszał, że „dla rządu wynik głosowania będzie stanowił wyraz stosunku Sejmu do niego, jako całości" — wysunęła się na plan pierwszy polityczna strona głosowania. Z tą chwilą los gabinetu był przesądzony...

NIEZROZUMIAŁA DYWERSJA.

Nie uratowała rządu nawet dywersja, jaką w ostatniej chwili w jednolitym dotąd froncie opozycyjnym uczyniło Stronnictwo Chłopskie. Dywersja tem więcej niezrozumiała, że wyszła ze strony stronnictwa, które w obecnym Sejmie najwcześniej ze stronnictw lewicy zajęło wyraźnie zdecydowane stanowisko opozycyjne wobec pomajowego systemu rządzenia i prowadziło najbardziej konsekwentną taktykę opozycyjną.

Pamiętne jest zwłaszcza stanowisko Str. Chłopskiego w dn. 28 stycznia ubiegłego roku w trakcie dyskusji nad wnioskiem o votum nieufności dla ministra sprawiedliwości p. Cara. Wtedy to jego leader p. Dąbski trafnie podkreślił, że obojętną jest rzeczą z której strony Izby wniosek ten wychodzi. Decydującym dla jego stronnictwa jest fakt, że p. Car jest przedstawicielem pomajowego systemu rządzenia, który Str. Chłopskie zwalcza...

I wówczas to jego głosy zmieszały się z głosami Klubów centrum i prawicy w beznadziejnej walce z p. Carem, którego od upadku uratowało kunktatorstwo i „wyższa dyplomacja" taktyki „opozycyjnej" P. P. S. i „Wyzwolenia".

Str. Chłopskie z tej kampanji wyszło z opinją szczerego, konsekwentnego stronnictwa opozycyjnego. Poto widocznie, aby po roku powtórzyć błędy swych sojuszników z lewicy.

Nie był to budujący widok...

ZASŁUŻONA ODPRAWA.

Incydent z Str. Chłopskiem nie był dla opozycyjnych stronnictw lewicy i centrum — wydarzeniem przyjemnem. Świadczy o tem chociażby entuzjazm, z jakim oświadczenie p. Dąbskiego przyjęto na ławach B. B., co zarówno mówcę, jak

i jego zwolenników, mocno skonfundowało...

Tem większe w tych warunkach wrażenie — uczynić musiała wspólna deklaracja wszystkich stronnictw „centrolewu", złożona na tem samem posiedzeniu przez pos. Róga.

Wartość tej deklaracji polega na tem, że w formie stanowczej, a poprawnej, w krótkich a zwięzłych słowach — określiła w spcsób bardzo trafny stanowisko wobec wystąpienia p. Bartla. Po scharakteryzowaniu ogólnych warunków, w jakich znajduje się dziś kraj pod koniec czwartego roku regime'u sanacyjnego — deklaracja podkreśla, że w tej sytuacji właśnie uważa kierownik rządu za właściwe „wygłosić ku zdumieniu opinji publicznej ogólnikowe i pełne małych złośliwości przemówienie".

Przemówienie to — podkreśla dalej deklaracja — „musi zwiększyć tylko zamęt i podniecenie uniemożliwiając owocną pracę rządu i parlamentu, tak niezbędną w obecnem ciężkiem położeniu kraju". Deklaracja piętnuje tego rodzaju „napastliwe wystąpienia" i wyraża przekonanie, że „to lekkomyślne szukanie zwady, zamiast współpracy i środków opanowania, a przynajmniej złagodzenia klęski gospodarczej, której pogłębienie w znacznej mierze obciąża rząd i wobec której rząd jak dotąd, bezradnie się zachowuje, to pieniactwo polityczne, zamiast rozumnego wysiłku gospodarczego, tę obojętność na los miljonów zamiast najwyższej o ich los troski, tę stałą w pewnych kołach chęć wichrzenia, którą tolerował i której uległ niestety i p. premier Bartel, niewątpliwie potępi cały kraj".

Odpowiedź surowa, ale zasłużona...

PRZESILENIE OTWARTE...

Wynik głosowania nad wnioskiem o votum nieufności dla p. Prystora, wiadomym był w Sejmie w piątek 14 marca o godz. 7. 20 wieczorem. W tym momencie tedy właściwie — zgodnie z deklaracją p. Bartla — otwarte zostało przesilenie rządowe.

Dalszy bieg wypadków nie wskazuje jednak bynajmniej, by czynniki, w obecnych warunkach naszego życia politycznego, o polityce państwowej decydujące, uważały ten wypadek za zdarzenie wyjątkowe, wymagające w interesie państwa, jak najszybszego załatwienia i rozwiązania

Po głosowaniu p. Bartel wraz z ministrami opuścił gmach Sejmu i udał się do Prezydjum Rady Ministrów, gdzie się odbyło półgodzinne posiedzenie „rady gabinetowej" (!) W wyniku tego posiedzenia p. Bartel nazajutrz, dopiero o godz. 11.30 udał się na Zamek, aby Prezydenta Rzpltej powiadomić o zaszłych poprzedniego dnia wydarzeniach i zgłosić prośbę swoją i rządu o dymisję. Konferencja ta trwała pół godziny.

Tego samego dnia w sobotę po południu miała miejsce w Belwederze rozmowa Prezydenta Rzpltej z marsz. Piłsudskim. Na godzinę dziewiątą zaproszony został do Belwederu p. Bartel.

Tak upłynęły pierwsze 24 godziny przesilenia...

WIELOMÓWNY KOMUNIKAT.

Komunikat ogłoszony po audjencji p. Bartla na Zamku przez Prezydjum Rady Ministrów — nie przyniósł żadnych miarodajnych decyzji. Zawierał natomiast ustęp, w którym jest mowa o tem, iż Prezydent Rzpltej „wyraził zdziwienie, że Sejm spowodował otwarcie przesilenia rządowego w chwili, gdy prace nad budżetem państwowym nie zostały jeszcze zakończone".

Ten ustęp komunikatu czytano w kołach politycznych z niemałem zdziwieniem. Umieszczenie tego rodzaju opinji w enuncjacji bądź co bądź urzędowej, nie świadczy najlepiej o wytrawności sądu autorów komunikatu.

Nie każdy bowiem pogląd, jaki wymieniają między sobą kierujący mężowie stanu — nadaje się do tego, by go podawano do publicznej wiadomości. Historja, i to nie tak bardzo odległa, zna wypadki w których podobna szczerość i rozmowność, przynosiła więcej kłopotów, niż korzyści...

W tym wypadku słaby punkt wyrażonej opinji, o ile została ona dość ściśle podana do wiadomości, polega ponadto jeszcze na tem, że zawiera ona poglądy pod względem merytorycznym trochę ryzykowne. Pominąwszy bowiem fakt, że Konstytucja nie zna przepisu, któryby zabraniał korzystania parlamentowi z prawa pociągania ministrów do odpowiedzialności politycznej w czasie prac nad budżetem — nie wolno przecież zapominać, że przesilenie rządowe wywołał przedewszystkiem sam p. Bartel...

JAK TO BYŁO Z P. PRYSTOREM?

Obrońcy stanowiska p. Bartla powołują się na treść jego deklaracji, w której dał on wyraz „konieczności zachowania przez rząd charakteru jednolitej całości". Stanowisko zasadniczo niewątpliwie słuszne.

Opozycja na swoje usprawiedliwienie może jednak przytoczyć niejeden fakt, wskazujący na to, że ta „jednolita całość" w pomajowym systemie rządzenia ma wartość mocno iluzoryczną. Dowodem jej chociażby zachowanie przez p. Bartla szeregu „bojowych" ministrów z gabinetu p. Świtalskiego mimo, że rząd p. Bartla miał przecież oznaczać zmianę kursu i przyszedł ponoć do władzy pod hasłem „współpracy z parlamentem"..

A ponadto trzeba pewne sprawy postawić całkiem wyraźnie. W kuluarach sejmowych słyszało się niemało głosów zdziwienia z powodu tej manifestacji solidarności p. Bartla z p. Prystorem, którego konieczność czasowego jakoby zachowania w składzie rządu — miał p. Bartel zgoła inaczej tłómaczyć pewnym czynnikom bezpośrednio po sformowaniu gabinetu...

Na tem opozycja, a w szczególności lewica, opierała z góry pewne plany, które p. Bartlowi nie były całkiem obce. Skąd więc nagle ta zmiana frontu?

DOŚWIADCZENIA UCZĄ...

Argument, że nie wolno było wywoływać przesilenia „w chwili, gdy prace nad budżetem nie zostały jeszcze zakończone" — grzeszy ponadto dość powierzchowną oceną wzajemnego prawnego i faktycznego stosunku rządu i parlamentu w tem stadjum pracy, w jakiem znalazł się budżet państwa na rok 1930 - 31, w dniu sejmowego votum nieufności, to jest w dniu 14 marca r. b.

Poprzedniego dnia właśnie Senat uchwalił swoje poprawki do budżetu. Z tą chwilą budżet wraca do Sejmu, któremu Konstytucja zostawia 2 tygodnie na ostateczne przyjęcie lub odrzucenie poprawek senackich. Tertium non datur...

A zresztą bądźmy szczerzy. Czy ktokolwiek z przedstawicieli rządu może dać zapewnienie, że Sejm po ostatecznem załatwieniu budżetu będzie miał czas na jakiekolwiek rozważania i uchwały, w wyniku których mogłoby dojść aż do przesilenia rządowego? Przecież dotychczasowe doświadczenia są pod tym względem dostatecznie pouczające, aby mieć się na baczności.

Sejm nie mógł ryzykować, że wniosek o votum nieufności dla ministrów podzieli los zeszłorocznego wniosku Klubu Narodowego o wyjaśnienie głośnych zarzutów w sprawie „wesołych budżetów"...

BEZTROSKIE DNIE.

Powrócimy jednak do dalszych losów przesilenia. Niedziela, drugi a ściślej mówiąc, nawet trzeci dzień przesilenia — przeszedł bez żadnego wydarzenia. Jakby dla zademonstrowania tej beztroski — p. Bartel odbył wycieczkę do fabryki Rudzkiego celem oglądania domów stalowej konstrukcji.

Mógł to tem snadniej uczynić, że dopiero nazajutrz w poniedziałek 17 marca pojawił się dekret Prezydenta Rzeczypospolitej, przyjmujący dymisję gabinetu

Kulisy polityki (c. d.)

i powierzający jego członkom dalsze kierownictwo spraw państwowych, aż do chwili zamianowania nowego rządu.

W ten sposób pełne trzy dni upłynęły— nim pojawiło się zarządzenie z chwilą wybuchu przesilenia tak zwyczajowe, że nigdy dotąd, ani przed majem, ani po maju, nie wywoływało żadnych wątpliwości.

Już ta zwłoka nadała swoistą cechę obecnemu przesileniu i nakazywała oczekiwać dalszych rozstrzygnięć nie tyle szybkich i stanowczych, ile... niespodziewanych..,

P. SZYMAŃSKI NA WIDOWNI.

Początkowo zdawało się, że rozegranie przesilenia potoczy się wzorem praktykowanym w grudniu ub. roku po dymisji gabinetu p. Świtalskiego. Wskazywało na to zaproszenie na poniedziałek do Prezydenta Rzplitej Marszałków Sejmu i Senatu.

Już jednak wtorek (czwarty dzień przesilenia!) przyniósł posunięcie, wskazujące, że tym razem zarzucono poprzednią metodę. Była niem decyzja powierzająca misję tworzenia gabinetu Marszałkowi Senatu p. Szymańskiemu.

O decyzji tej powiedzieć można, że trudno ją określić tylko jako niespodziankę... W życiu politycznem niespodzianki mogą nosić cechę pewnego przypadku, czasami zaś decyzji tak trafnej i przewidującej, że tych jej walorów przeciętna opinja mogła nie zauważyć.

Desygnacja p. Szymańskiego nie ma niestety cech tego rodzaju. Wywołała też w kołach politycznych, a także i w szerokiej opinji... powszechne zdumienie..:

Bodaj najbardziej uderzyła ona swą... oryginalnością niektórych leaderów B.B. Ci we wszystko „wtajemniczeni" panowie nie uwierzyli, że taka jest „najwyższa wola", póki im tego nie pokazano „czarno na białem"...

CZŁOWIEK I PROGRAM.

Nowo desygnowany premjer pośpieszył zaraz z wyjaśnieniem genezy swej misji. Z ujmującą szczerością, która go cechuje, oświadczył dziennikarzom, że powierzenie mu roli tworzenia rządu zawdzięcza temu, że podczas konferencji na Zamku wypowiedział on opinję o możliwości współpracy rządu z Sejmem, powołując się na starorzymską zasadę, że zgodą małe rzeczy wzrastają, a niezgodą nawet największe giną...

Oświadczenie to podziałało na sytuację niemal... kojąco. Nagle w skłóconą i podniecioną atmosferę sejmową padły słowa proste, ale jakżeż prawdziwe, słowa — przysłowia, które są przecież mądrością narodów, słowa — program...

Zachwiały one największemi nawet pesymistami. A może mówiono po cichu — pod jowialną maską Marszałka Senatu kryje się istotnie mąż stanu wielkich talentów, może to pierwszorzędny taktyk..

Dalsze wynurzenia p. Marszałka trochę ostudziły temperaturę optymizmu. Dowiedziano się z nich, że p. Szymański w dn. 19 marca nie będzie prowadził żadnych narad, bo to „galówka", którą on szanuje, a ci, którzy z nim wejdą do gabinetu muszą ją również szanować....

W ten sposób dość wyraźnie zakreślona została linja polityczna jego gabinetu...

W OGNIU PRACY.

Minął nareszcie dzień imienin. Nazajutrz, we czwartek 20 marca, w szósty dzień przesilenia rozpoczął wreszcie p. Szymański swoje rozmowy ze stronnictwami.

Pamiętając snać o tem groźnem zjawisku, jakie zdemaskowali w niedawnych prelekcjach różni sanacyjni mężowie stanu, a które nazywa się tyranją przewódców klubowych, wywieraną na zespoły poselskie — postanowił nowy premjer rozszerzyć grono oficjalnych reprezentantów klubów, z którymi ma konferować. Zaprasza więc całe prezydja i nie czyni pod tym względem różnic między uprawnieniami członków obu Izb.

Po raz pierwszy dokonane w ten sposób zostało równouprawnienie obu Izb ustawodawczych. Sposób niewątpliwie łatwy i prosty i tylko dziwić się należy, że nikt dotychczas nań nie wpadł...

Plan swój realizuje p. Szymański pracowicie dzień za dniem. Trudno w tej chwili określić, kiedy należy oczekiwać jego zakończenia. Jeszcze trudniej odpowiedzieć na pytanie, do czego ten plan zmierza i jakie mógłby on natrafić trudności w realizacji, skoro p. Szymański otrzymał misję tworzenia gabinetu z rąk Prezydenta Rzplitej za poradą marsz. Piłsudskiego!

LIBERUM VETO.

Tymczasem zaś w Sejmie dzieją się rzeczy, które pozwalają z innego nieco punktu, nie od strony formalnych ceremonji pro foro externo, ocenić, o co w danej chwili toczy się „rozgrywka" przesileniowa.

Klub B.B., który nie pomija żadnej sposobności, by stanowisko Sejmu osłabiać i systematycznie obniżać, znalazł nową okazję do swych popisów w fakcie kontynuowania prac sejmowych mimo przesilenia.

Fakt ten ma za sobą precedens, chociażby z czasu ostatniego przesilenia, w grudniu z. r. Przedewszystkiem zaś przemawia za nim realna potrzeba państwowa, gdyż w danym wypadku chodzi przedewszystkiem o załatwienie pilnych przedłożeń rządowych o charakterze konieczności państwowych, w których stanowisko rządu jest znane i nie wywołuje przeważnie zastrzeżeń.

Ale wśród tych spraw jest jedna wybitnie „nieprawomyślna": kwestja zamknięć rachunkowych za rok 1927-28, w której kryje się t. zw. sprawa Czechowicza. Inde ira. Teraz rozumiemy uchwałę klubu BB., w której oświadcza on, że „oprze się z całą bezwzględnością, nie cofając się przed użyciem jak najostrzejszych środków" próbom zwoływania posiedzeń Sejmu.

„GENJALNE PLANY".

Stanowisko klubu B.B. nie było dla nikogo w Sejmie niespodzianką. Wiadome było od dawna, że klub ten skorzysta z każdej sposobności, aby nie dopuścić dla wyświetlenia tak przykrej i drażliwej dla siebie sprawy Czechowicza.

W świetle jego obecnego zachowania jaśniejszem nieco staje się „posunięcie" p. Bartla, prowokujące kryzys gabinetowy. Coraz przejrzystą też wydaje się i ta gra, której elementem m. in. są przewlekłe konferencje p. Szymańskiego i prawdopodobne złożenie przezeń misji po kilku dniach, to jednem słowem widoczne „markowanie" tworzenia rządu..

A tymczasem Sejm unieruchomiony przez klub B.B. straci dwa tygodnie, przewidziane w Konstytucji na przegłosowanie poprawek Senatu do budżetu. I gdy ten krytyczny dzień minie — znajdzie się u steru odpowiedni rząd, chociażby nawet p. Bartla, a pierwszym jego aktem będzie zamknięcie sesji parlamentu.

Plan genjalny — wymaga tylko jednego: potulności i bezwładu Sejmu. Co do tego zdaje się panowie kalkulanci może się przeliczą. Przekona ich o tem niechybnie zbliżający się tydzień. Ostatni tydzień sesji budżetowej Sejmu, drugi tydzień przedziwnego przesilenia rządowego.

KSIĄŻĘ

Choć w stronnictwie — prezesem, ale jednak czuje —
Żalił się pewien Książe — nikt go nie szanuje.
A na to ktoś: „Rzecz całkiem łatwa do pojęcia —
Nie szanują stronnictwa — więc jak mogą — Księcia?"

HARRY.

SKONFISKOWANE

Wpłacajcie prenumeratę

Smutnej pamięci „Czerezwyczajki"

Nie wahamy się jej tak nazwać...

Aczkolwiek zrodziła się w Polsce, na polskim gruncie działała, zasiadali w niej Polacy i przestępczych Polaków karać mieli, — to jednak jej działalność była taką, że w pamięci potomnych tylko jako „czerezwyczajka" istnieje i istnieć będzie.

Nazwa urzędowa: „Nadzwyczajna Komisja do walki z nadużyciami naruszającemi interesy państwa". Miejsce działania— cała Polska. Kompetencje — nieograniczone.

Działo się w roku 1927.

Każdy uczciwy człowiek pomyślał: „No, nareszcie. Wzięli się za złodziei grosza publicznego. Nareszcie choć raz wsadzą do kryminału tych wszystkich, o których wiadomo, że kradną. Nareszcie chociaż raz będzie sprawiedliwość".

„Komisja" zaczęła działać. Od swej bliźniaczej siostrzycy ze wschodu różniła się tem tylko, że nie miała prawa sądu i wyrokowania.

Dopieroż byłby raj... Żeby tak mieć prawo i rozstrzelać takich „przestępców" jak Kozubski, Mażewski, Moskwa i inni. Człowiek rozstrzelany nie mówi — nie może się bronić. Milczy na wieki.

No, ale „tak dobrze" nie było.

Powtarzamy: „nadzwyczajna" — (aby nie razić wrażliwych słowem czerezwyczajka) zaczęła działać. Oczywiście aby coś złapać — trzeba szukać. Trzeba zadać sobie trud i pracę, przejrzeć setki bilansów i ksiąg, trzeba wglądnąć w różne dziedziny życia — słowem trzeba długo szperać i obserwować aby nareszcie trafić na prawdziwe przestępstwo.

Ale jest i inna metoda...

Znów ze wschodu, znów śmierdząca żandarmem i stójkowym, podła i nikczemna..

Jest nią małe słówko: „donos" — po polsku „doniesienie", „wiadomość poufna"...

Te słowa brzmią źle w naszym języku. Słychać w nich dźwięki judaszowych srebrników, płaconych chyłkiem, w zakamarkach, po cichu...

Te „doniesienia" — to plony pracy różnych agentów i poufnych informacyj, to echa pracy defenzyw i kontrwywiadów, które tak głęboko zdeprawowały niektórych ludzi.

Otóż to są źródła, z których rodzima „nadzwyczajna" czerpała wiadomości.

Oto podstawy, na których rozpoczynano sprawy.

A no — rzekło się. Sprawa rozpoczęta. Jazda naprzód, trza pokazać, że się pracuje, a więc po pierwsze krzyk, hałas w prasie, no i oczywiście pokazanie silnej ręki. „My się nie boimy nikogo. Aresztujemy każdego podejrzanego człowieka". Rzeczywiście aresztują. Na prawo i lewo sypią się nakazy aresztowania — małe czerwone druczki, od których zawisła wolność ludzka, honor, sumienie... Jak łatwo podpisać taki papierek! Jak przyjemnie przywalić wielką pieczęć i pod pieczątką „członek komisji" nazwisko swoje skreślić! Raz władza w ręku! Zechcę — zaaresztuję. Zechcę — wypuszczę! My wszystko możemy — my „nadzwyczajna"!

Przyjemnie...

Rozpoczyna się ten sam proces, który przechodziła, niewątpliwie również ideowo poczęta siostrzyca — „czerezwyczajka".

Psychoza władzy...

Aresztować przestępców — pewni czy niepewni, prawdziwi czy nieprawdziwi — tymczasem aresztować. Ilość aresztowanych — to pokaz działalności.

A jakość?...

Możemy odpowiedzieć za „nadzwyczajną": jakość — pierwszorzędna. Dziwią się białe cele „Pawiaka". Cicho szepcą żelazne kraty...

Cóż to za goście niezwykli? Starzy, poważni ludzie: profesorowie, adwokaci, inżynierowie. Rzadcy, niezmiernie rzadcy goście na „Pawiaku"!

I względy jakieś specjalne. Cele zgóry przygotowane. To już jest fakt, pierwszy fakt piętnujący „nadzwyczajną". Oto wzywano na przesłuchanie poszlakowanego na godzinę 12-tą, a o godzinie 10-ej już kazano przygotować celę!

Coś przypomina się jak przez mgłę... Aha! Rok 1905 — słynny Trepow i rozkazy: „ilu aresztowanych? — 160 — w porządku! Przygotować 100 miejsc na „Pawiaku". Tak samo zgóry przesądzało się sprawę wolności człowieka. Jakież mogło być bezstronne i objektywne badanie, skoro badający wiedział, że tam na „Pawiaku" już czeka samotna cela na przyjęcie domniemanego przestępcy!

Nareszcie! Przestępca jest — siedzi. Nie ucieknie! Trzeba zrobić rewizję — a może jednak znajdą się jakieś dowody...

Jak się urządzało te rewizje? Mój Boże! Cały dom był na nogach! Aresztowanego z więzienia eskortowało 2-ch policjantów; na miejscu bez mała pół komisarjatu. Cała ulica wie, że to „taki ważny przestępca" — Ta ulica tak wrażliwa i łatwa do sądu: „musi wielki złodziej, jak tyle policji, moja pani" — szepczą do siebie kumoszki.

No, ale dowodów niema. „Donos" na długo nie starczy. Daremnie kopie się w życiu człowieka, stara się wyciągnąć dawne prywatne sprawy, zapuszcza się macki szpiegowskie w najbardziej intymne uczucia i dzieje.

Nie pomaga...

Niema nic. Dosłownie na sprawie niema nic. Jako jedyny argument uwięzienia człowieka — trwające śledztwo.

A może...

Może do członków komisji znów od wschodu powiało radą, której na imię: „załamanie psychiczne".

Czekać na „załamanie psychiczne"...

Więzić tak długo, aż zacznie „sypać". Byle co, byle kogo.

Aby tylko wyjść z więzienia. Na wolność za wszelką cenę.

Czy na to czekała „nadzwyczajna"?

I kto wie, ilu ludzi powiesiłoby się w samotnych celach więziennych ku głębokiemu zadowoleniu naszych szanownych członków komisji, gdyby głosu nie zabrała polska sprawiedliwość, polski Sąd Niezależny.

Trzeba było ludzi z więzienia wypuszczać. Dla przyzwoitości — za kaucją, aby do reszty nie walić prestige'u komisji. Jak niewspółmiernie małe kaucje wyznaczał sąd w stosunku do wyimaginowanych przestępców!

Jak niewspółmierne do urzędowych wyjaśnień, których łaskawie udzielano rodzinom i przyjaciołom aresztowanych. Ale o tem gdzieindziej.

Jak niewspółmiernie wysokie znowu kaucje wyznacza sama „nadzwyczajna". — Ostatnia nadzieja, — może nie złoży, może choć jeden aresztowany zostanie...

Składali kaucje nierzadko przyjaciele, znajomi — złożyli.

Śledztwa toczyły się dalej.

Jakimi szły drogami — to wie jedynie Bóg i... „nadzwyczajna"..

Może kiedyś jakaś siła wyzwoli zaklęte w archiwach tajemnice. A może już i śladów niema...

Ale żyją ludzie. Boją się — ale mówią. Przestaną się bać — powiedzą więcej.

Założone na kruchych i z gruntu fałszywych doniesieniach — rwały się śledztwa jedno za drugiem. Każdy człowiek uznał błąd i cofnął się — niektórzy członkowie „nadzwyczajnej" — nie.

Brnąć dalej w błędach, w sieci niewyraźnych oskarżeń i półsłówek, za któremi kryje się twarz szpiega i błyszczy judaszowy grosz...

Ad finem. Byle do aktu oskarżenia. Ale kto go będzie robił?

W większości spraw prokuratorzy odmawiali zestawienia aktów oskarżenia, dopiero ministerjalne „carskie" polecenia zmuszały ich do tego.

Ostatni akt tragikomedji — rozprawa sądowa.

Dziwne były te sprawy „nadzwyczajnej"...

Zwykle już w początku przewodu sądowego jasnem było, że ława oskarżonych nie dźwiga na sobie piętna występku. Nie broniono się z niej. Przeciwnie. Oskarżano. Oskarżano spokojnie i beznamiętnie tych co z władzy lekkomyśl nie uczynili igraszkę z ludzką wolnością i sumieniem...

Ławy oskarżonych — oskarżały.

Jeden za drugim padały wyroki stwierdzające niewinność niesłusznie szkalowanych i nieszczęsnych klijentów „nadzwyczajnej".

Druga grupa spraw, to te, w których przy najszczerszych chęciach nie było możności nie tylko oskarżenia, ale nawet dalszego prowadzenia śledztwa, chociaż przerzucano je z rąk do rąk kilku wytrawnych sędziów przez 2 blizko lata.

Ci sędziowie — ludzie o prawnym i objektywnym poglądzie na rzecz orzekli, że w sprawie nic nie ma. I umorzono je w śledztwie.

Ale kto zwróci długie miesiące więzienia?

Kto zliczy samotne, gorzkie łzy wylane w pojedynkach „Pawiaka"...

Kto wróci szarpnięte dobre imię, latami długiej pracy budowane?

Kto opłaci łzy staruszek - matek wylane w gabinetach „członków komisji" i pod bramą więzienną?...

Czyja kara może zmyć to wszystko?

Niech mówią panowie z „nadzwyczajnej" — o ile wogóle coś powiedzieć mogą.

I niech przed sądem społeczeństwa nie zasłaniają się dobrą wolą...

Ten kawał znamy.

Trzeba było mieć dobrą wolę, gdy komisje lekarskie na „Pawiaku" przedstawiały wnioski o zwolnienie ludzi, którzy dawali pełne moralne gwarancje, że nie uciekną, nie uchylą się od wymiaru sprawiedliwości.

Wtedy trzeba było myśleć przez pryzmat dobrej woli, a nie stosować bezwzględny areszt.

Teraz zapóźno...

Sądzi i osądza panów z „nadzwyczajnej" opinja publiczna. Mówią o nich same za siebie uniewinniające wyroki i umorzone sprawy...

A może po wygaśnięciu nietykalności i zmianie warunków znajdzie się i inny sąd?

Czekamy cierpliwie, wierzymy w sprawiedliwość i nie zapominamy.

Mamy czas.

Do „Komisji" jeszcze powrócimy.

Oświetlimy szereg postaci pierwszo i drugoplanowych. Pomówimy o „małych ludziach do małych interesów", o specyficznych aplikantach sądowych i adwokackich.

Tematu nie zbraknie...

Chcąc być sprawiedliwym — jedno pytanie pod adresem Pana Prokuratora Walfisza:

— Panie Prokuratorze — co Pan w tem „godnem" towarzystwie robił? Pan, taki dzielny, solidny i naprawdę porządny człowiek. Ale wierzymy, że Panu kazano.

Zresztą, Pan zdaje się, temu nie zaprzeczy.

Trochę cyfr: ile kosztowała zabawa w „nadzwyczajną"? Przeszło 247.000 zł.

Oficjalnie — tyle.

Nieoficjalnie — wie Bóg i fundusz dyspozycyjny.

Rozpoczęto stokilkadziesiąt spraw.

Posadzono kilkunastu ludzi do więzienia i trzymano nierzadko do 7 miesięcy.

Rezultat ostateczny: jedna jedyna sprawa wykazała istotnego przestępcę a i to w rodzinie zostało...

Prezesem „Komisji Nadzwyczajnej" był p. Dębski z Nacz. Izb. Kontr.

Jedynym przestępcą, którego „komisja" wyłowiła jest były rejent, również p. Dębski.

Podobno krewny i podobno blizki.

Ale czy dla załatwienia tej „rodzinnej sprawy" trzeba było montować taki aparat i męczyć tylu ludzi? Z powodzeniem załatwiłaby ją normalna procedura karna.

Z powodzeniem większem niż „nadzwyczajna". Taniej i lepiej. To pewne.

P. Skrzyński na widowni

Prasę codzienną obiegła niedawno sucha, acz niepozbawiona pewnej sensacyjności, informacja: b. premjer Aleksander Skrzyński powraca w najbliższym czasie do dyplomacji.

W światku dziennikarskim wiadomość ta wywołała dość duże poruszenie. Pamiętają tam przecież dawną do siebie niechęć pp. Zaleskiego i Skrzyńskiego, datującą się od tych czasów, kiedy p. Aleksander przedzierżgnął się w zdecydowanego Lokarneńczyka, a p. August żywił co do tej orjentacji pewne wątpliwości, którym następnie, po usunięciu z poselstwa przy Kwirynale, dawał wyraz na łamach tygodnika „Ster".

Przypomniano sobie, że po przewrocie, który tak niespodzianie jego konkurenta wyniósł na kierownictwo naszej polityki zagranicznej — p. Skrzyński dwukrotnie zabiegał o „naprawienie" stosunków z „jedynym czynnikiem decydującym", któremu tak ważne oddał usługi w okresie swego premjerostwa. Raz składał wizytę w Sulejówku, gdzie go przyjęto więcej jak chłodno. Niezrażony tem, mniej więcej rok temu, wystarał się za pośrednictwem p.p. Becka i Wieniawy - Długoszowskiego o audjencję w Belwederze. Tym razem przyjęcie było bardzo serdeczne, choć zgóry ograniczone do pół godziny. Cały ten czas wypełnił sam Marszałek, bawiąc rzadkiego gościa rozmową o ukochanych... Druskienikach.

Mocno odczuł tę niepolityczną grzeczność nasz wytworny Lokarneńczyk i opowiadając o niej w „Kasynie narodowem" w Krakowie, nie przeczuwał widocznie, że nie upłynie rok cały, a i ku niemu zmienić się mogą łaskawe afekty.

Jak to nazwać...

W pamiętnikach Gen. Uthoffa, b. szefa żandarmerji przy Gubernatorstwie Warszawskiem, czytamy między innemi:

„Zgłosiła się do mnie wówczas p. St. Jankowska i oświadczyła, że gdy prosiła o widzenie z synem, rtm. Rabow powiedział jej, że jeśli jest dobrą matką — to niech namówi syna do samobójstwa; ochroni go od szubienicy i hańby".

„Oburzyło mnie to" — pisze Uthoff — „i oświadczyłem, że o ile jest to prawdą, usunę rtm. Rabowa z Oddziału Specjalnego — nienawidzę bowiem takich metod w prowadzeniu śledztwa".

Tyle szef żandarmerji i ochrony, moskal, człowiek bez sumienia, który setki ludzi posłał na śmierć i katorgę.

W dwadzieścia lat później, w pięknych salach Rady Min., ustąpionych wszechwładnej Komisji do Zwalczania Nadużyć, polski sędzia śledczy oświadczył przyjacielowi jednego z urojonych przestępców (człowieka ogólnie szanowanego, docenta uniwersytetu), że: „szczęściem pańskiego przyjaciela było by, aby zmarł w więzieniu". A następnie ów sędzia wprost poddawał myśl samobójstwa, jako jedyne wyjście z sytuacji dla oskarżonego.

Słowa te doszły do matki oskarżonego. Zapłakała staruszka gorzko nad łajdactwem ludzkim — wierzyła, jak wszyscy, w to, że syn jest niewinny.

Przeszedł czas niedługi. Nie umarł w więzieniu, nie skorzystał z „łaskawych" rad p. Sędziego, przeciwnie żyje, jest całkowicie zrehabilitowanym i jeszcze dojdzie swoich krzywd...

Ale nie znalazł się jakiś gen. Uthoff, któryby potępił sędziego, który by potępił etykę godną kata czerezwyczajki.

P. Skrzyński na widowni (c. d.)

Wreszcie czas ten nadszedł. Pomyślną dla siebie ewolucję zawdzięcza nasz niedoszły Cavour tej dość niezrozumiałej w naszych sferach decydujących okoliczności, że widocznem jest, iż wśród możnych tego świata toczą się jakieś rozmowy na temat... rosyjski, snują się jakieś plany, a tylko naszych Napoleonów i Talleyrandów nikt się o nic nie pyta...

Postanowiono tedy — jak wieść niesie— zademonstrować dumne splendid isolation, a na dobitek Paryżowi i Londynowi pokazać, że sami umiemy sobie dawać radę. Z tej genjalnej myśli zrodził się plan „wyrównania" za wszelką cenę „frontu" z naszym zachodnim sąsiadem, co znalazło m. in. swój wyraz w umowie warszawskiej z dn. 31-go października 1929 roku, w szczególności zaś w „aneksie" do niej, w którym p. Zaleski zrzekł się prawa likwidacji osad niemieckich w województwach zachodnich.

Obecnie po podpisaniu traktatu handlowego to „zacieśnienie stosunków" ma pójść szybszym krokiem. Uznano tedy, że do tej misji p. Knoll się już nie nadaje, a ponieważ w ciągu czterech lat objechał kolejno już 3 placówki (Angora, Rzym, Berlin) przeznacza mu się jako czwartą: Tokio. W Berlinie zastąpi p. Knolla p. Aleksander Skrzyński, a o ile wszystko dopisze jak należy, zjedzie on nad Sprewę już jako pierwszy ambasador Rzeczypospolitej.

Tak zadecydowano w sferach... „jedynego czynnika decydującego". Powiadomiony o tem p Zaleski musiał wpierw „wyrównać" swój nadszarpnięty przed 4 laty „front" z p. Skrzyńskim. Z przyjacielską usługą w tym kierunku pośpieszył mu p. Aleksander Lednicki i po sympatycznem śniadaniu w jego apartamentach przy ul. Pięknej — ta część planu została zakończona w jak najlepszym nastroju.

Na wykonanie dalszej — musimy jeszcze nieco zaczekać wobec niepewności, jakie będą losy ratyfikacji traktatu polsko - niemieckiego w parlamencie. W każdym razie jednak p. Skrzyński szykuje się do drogi. Uprzedził już o tem swych przyjaciół z „Kasyna narodowego" w Krakowie, gdzie po dłuższej „depresji" nastrój podniósł się po tej wiadomości o kilka procent w górę.

Redaktor Ludwik Rubel

W szerszej opinji publicznej mało kto wie, co za potentat prasowo - polityczny ukrywa się pod tem, na pozór nie wiele mówiącem, nazwiskiem. Prawa ręka posła Marjana Dąbrowskiego — codziennie niemal na naczelnem miejscu rozwija w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym" „tezy" polityki sanacyjnej. Od czterech prawie lat z tą samą niesłabnącą pewnością siebie, usprawiedliwia, tłumaczy i... grozi, posługując się przy tem dowcipnie pomyślaną metodą, która pozwala „plusy" zapisywać na wyłączny rachunek „genjalnych wodzów" i rządu, a błędami i winami obciążać... Warszawę.., i warszawistów.

Ostatnio np. omawiając ustąpienie p. Bartla — dał ów pan taką oto próbkę stylu i argumentacji. „Dowiódł" przedewszystkiem, że przewódcy opozycji wezwani na Zamek po upadku gabinetu pana Świtalskiego „przyrzekli Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej współpracę z rządem, pacyfikację stosunków (!) i naprawę konstytucji" Pan Bartel — zdaniem pana Rubla — „od pierwszej chwili władzy dawał tysiączne dowody, że tej współpracy pragnie i że gotów dla jej umożliwienia niejedno poświęcić". (Cytujemy dosłownie z Nr. 71 „Ilustr. Kurjera Codz." z dnia 17 marca 1930 roku).

W odpowiedzi na takie zbożne zamiary — Sejm tendencyjnie doprowadził do „zaognienia stosunków" i obalił rząd „najba...ej sejmowy, jaki można sobie pomyśleć". „Lepszego dla siebie — woła pan Rubel — Sejm nie otrzyma". Następnie przemawia za koniecznością załatwienia przez Sejm w czasie przesilenia szeregu ważnych przedłożeń i kończy charakterystycznem stwierdzeniem, „że jeżeli wskutek stanowiska Sejmu niejeden element przyśpieszenia poprawy gospodarczej zostanie wyłączony z obiegu (mówimy znowu o niezałatwieniu ważnych projektów ustawowych) to zaprawdę odpowiedzialność w tej mierze jest jasna i ustalona".

Umyślnie przytoczyliśmy szerzej ustępy artykułu pana Rubla, zawierające sformułowanie zasadniczego stanowiska, które już po paru dniach uległo gruntownej zmianie na rzecz solidaryzowania się z groźbami BB. niedopuszczenia do obrad sejmowych w czasie przesilenia. Charakteryzują one bowiem dosadnie metody publicystyczne naczelnego redaktora „Il. Kurjera Codziennego".

Okazuje się jednak, że i w innej dziedzinie pan Rubel ma nie mniej.... oryginalne metody postępowania. Ujawniła to w dostatecznej pełni przyciszona chwilowo sprawa, związana z aresztowaniem byłego reportera Ajencji Wschodniej Seinfelda o „podsłuch".

W swoim czasie (26 stycznia r. b.) ajencja sanacyjna „Iskra", kierowana przez najbliższego przyjaciela pana Rubla, pułkownika Stieglitz - Wyżeł - Ścieżyńskiego ogłosiła komunikat tej treści: „Donoszą nam z Krakowa, że w ostatnich dniach został wezwany przez sędziego śledczego pana Luxemburga, jako świadek w sprawie Seinfelda, jeden z redaktorów krakowskich dzienników, który zeznał, że dyrekcja Ajencji Wschodniej rzeczywiście proponowała mu prenumerowanie stałe znanego „biuletynu poufnego" dla jego pisma".

Na zasadzie „zeznania" owego tajemniczego „jednego z redaktorów" został — jak wiadomo — dyrektor Ajencji Wschodniej p. Szczepanik postawiony w stan oskarżenia, musiał złożyć kaucję w wysokości 5 tysięcy złotych i dopiero w parę tygodni później decyzją prokuratora przy Sądzie Apelacyjnym sprawa przeciwko niemu została umorzona.

Z powyższym komunikatem „Iskry" zestawić następnie należy komunikat zarządu głównego Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism, którego komisja w składzie pp. Lewandowskiego (prasa „czerwona"), Niklewicza („Gazeta Warszawska") i Szapiry („Robotnik") rozpatrywała sprawę dyr. Szczepanika. Komisja ta wydała orzeczenie, ogłoszone w prasie w dniu 5 marca r. b., w którem czytamy:

„Na podstawie odpowiedzi wydawców 31 największych pism codziennych, zrzeszonych w Związku, ze wszystkich głównych ośrodków wydawniczych Rzplitej. na ankietę komisji, komisja stwierdziła, że ani Ajencja Wschodnia ani jej dyrektor p. Szczepanik, nie proponowali żadnej z redakcyj wspomnianych dzienników abonowania poufnego biuletynu prasowego, ani nie rozpowszechniali takiego biuletynu wśród tych redakcyj".

Cała ta historja wymaga dwu drobnych uzupełnień: 1) Owym „jednym z redaktorów krakowskich dzienników", dziwnie zakonspirowanym w całej prasie codziennej co do swego udziału w tej sprawie, na skutek „zeznań" którego p. Szczepanik był postawiony w stan oskarżenia — był p. dr. Ludwik Rubel, naczelny redaktor „Ilustrowanego Kurjera Codziennego"; 2) Wśród owych 31 „największych pism codziennych", na informacji których oparte jest stwierdzenie przez komisję Pol. Związku Wydawców faktów wręcz przeciwnych — jest m. in. także wydawnictwo „Ilustr. Kurjera Codziennego" w Krakowie.

Po tych faktach pozostaje tylko zapytać, co z tym „wypadkiem" zamierza zrobić krakowski „Syndykat Dziennikarzy", względnie Związek Syndykatów w Warszawie. Jak z dotychczasowego biegu faktów wynika, p. Rubel jest niewątpliwie w tych sferach persona grata, ale nie sądzimy, by aż do tego stopnia, żeby i tę ostatnią historję pokryto głuchem milczeniem...

To, co najostrzejsze

Klub B. B. zapowiedział przeciwstawienie się „najostrzejszymi“ środkami próbie zwołania sesji sejmowej przed zakończeniem przesilenia. To znaczy: klaksony, trąby, pałki gumowe, głośniki i grzechotki.

Oprócz tego „wierne rzesze oburzonych obywateli“... sformowanych z 2 lub 3 kompanji strzeleckich.

To wewnątrz.

A zewnątrz: —

Role podzielone stosownie do fachu i uzdolnienia.

Więc: w y ż e ł będzie wył, aż mu i s k r y z szerści polecą —

Żubry Konserwatywne będą chrząkać arystokratycznie, względnie nucić jakąś francuską (koniecznie) piosenkę. — Odpowiednio „pikatne przeboje“, któreby nawet trupa „podrajcowały“ zostały już sprowadzone z Paryża oraz zamówione u nadwornych szreibingełesów z qui pro quo.

Reszta bębesiów będzie mogła wykazać się swemi postępami w technice opanowania wokalnego „Brygady“ oraz będzie toczyć „gawędy legunów między sobą“; o najsoczystszy ich styl postarał się już zarząd Klubu przygotowując odpowiednią ilość „oczyszczonej“.

B. B. S. — otrzymać ma fraki, przyczem ów strój niezwykły wprawi ich w taki zachwyt, że przywódcy gwarantują minimum 3 godziny niemilknącego entuzjazmu w postaci ryku i tańcu „Negra, który dostał podartą piżamę“.

Prezydjum objęło dyrekcję i rozdzieliło role.

Prezes Walery własnoręcznie będzie łamał kości (do gry) składając tem dowód swej siły.

Z dalszych atrakcji przewidziana jest publiczna sprawa honorowa: Baćmaga contra Kosiba (arbiter Miedziński).

Wytworny Boguś obiecał balet z wszystkich nieznanych girls'ów, którym dostarczał zapomóg, a Sanojca z nieznanych powodów będzie udawał Łazarskiego i robił jazzband na obliczach swych najbliższych sąsiadów.

Gdyby te środki zawiodły Klub BB ma zamiar złożyć na przyniesionych talerzach swe ekskrementy i trenować wolę opozycji wmawiając jej, że to konfitury.

Z związku z powyższem wyznaczeni członkowie B. B. od dni kilku poddają się odpowiedniej dyjecie i konsumują tylko silnie... „wydajne“ potrawy.

Wogóle wieczór zapowiada się wesoły i urozmaicony.

HARRY.

Okulista na dnie oka

Było sobie dno oka
I był okulista —
(Okulista — dno oka —
Łączność oczywista)
Temu więc okuliście (a był bardzo stary),
Dopasować kazano nowe okulary,
Przez któreby oko widziało na nowo,
Wszystko — różowo.
Pięknie. —
Okulista natęża się, mało nie pęknie.
Sił wprost nie czuje —
Bez przerwy pracuje,
Zajęty niesłychanie —
Nie ma czasu, nawet na śniadanie.
Raz kurjer jakiś hałas podniósł wielki:
„Sensacja! Dziś w bufecie spożył dwa serdelki
I jajo, na pół surowo!
I pokrzepiony, na nowo
Zamknął się z ponurą twarzą
W gabinecie, gdzie państwa się koleje ważą
Dalej Kurjer opowiada,
Że okulista wciąż gada
Z różnymi osóbkami,
Specjalistami,
Jakby tu okulary dobrać odpowiednie
(Na święta i na dni powszednie),
Jakie soczewki, jaką dać oprawę,
Czy lewe szkło ma być silniejsze — czy prawe,
Czy te okulary nowe
Mają mieć światło centrowe,
Centrolewe, centroprawe, ostre, albo też łagodne
Mocne, a może pogodne?..
Wprost od zmysłów odchodzi i wali się z nóg.
Naprzykład: głupstwo — oprawa —
I zaraz obadwa —
Czy odpowiedni będzie do niej r ó g?
A może będzie lepiej
Gdy się ją w kształt d y s k a szczepi,
Lub zamiast podstawki
Da z kości połamanej „s ł a w k i“?
I tak dalej na każdziutkiem kroku:
Szkła nastawić — pod jakim kątem i jak precyzyjnie
By światło nie łamało się o p o z y c y j n i e
A lojalnie,
Namacalnie,
Dawało pożądane złudzenia,
Że wszystko idzie wspaniale
I zaraz obawa —
Nie ma nic do naprawienia?...

Od rana aż do zmroku
Pracuje w gabinecie sławny okulista
(Specjalista,
Jak fama głośno opowiada,
Który ongiś w Ameryce Południowej
Od oślepnięcia wszystkie wyratował krowy
I sławne im wynalazku swego szkła zakładał).
Ale, że ludzie nie krowy, mój Boże,
Więc się zdarzyć może
Jeśli wszystko nadal nie będzie tak... „składnie“,
Że, nie okulary oczywista,
Ale sam okulista,
Znajdzie się w oku — na dnie.

HARRY.

Odpowiedź Herkulesa

Gdy po, smutnej pamięci, okresie „sanacji“,
Parlament do „systemu“ wziął się likwidacji —
Jednogłośnie, na pierwszej sesji postanowił,
By portfel szefa rządu dać... Herkulesowi —
„Wszak stajnie augjaszowe on oczyścił przecie...
Niechajże więc wyrzuci sanacyjne śmiecie!“
Dictum - factum — wybrane, w delegacji posły,
Heraklowi solenną petycję poniosły —
Lecz bohater za zaszczyt im dziękując ślicznie
Propozycje odrzucił wprost ka te go rycz nie,
A gdy go delegacja wciąż dalej uprasza—
Lat dwanaście — rzekł — stajnie czyściłem Augjasza,
Lecz u was — sto lat byłbym bez przerwy zajęty,
By wszystkie sanacyjne wymieść ekskrementy“.

HARRY.

Opiekuńczy okólnik imieninowy

Mało kto wie, jakie doniosłe czyny i prace przerwała p. Prystorowi — dymisja.

Jak wiadomo, w wilję Bożego Narodzenia już rozesłał p. Prystor swoje piękne wypracowanie o marszałku Piłsudskim do zakładów opiekuńczych, ochronek i schronisk, dla odczytania w czasie wieczerzy wigilijnej.

Podobny okólnik, nie mając widocznie nic pilniejszego do roboty, jak ćwiczenie się w stylu, rozesłał dnia 17 marca. Otóż, drogą podsłuchu udało nam się zdobyć tekst następnego eleboratu, który miał być skierowany do Żłobków, do Kropli Mleka i innych przytułków dla niemowląt, aby od pierwszych chwil życia wychować je na dobrych państwowców.

Niańki, piastunki, pielęgniarki otrzymać miały tekst piosenki i rozkaz śpiewania jej do snu swym pupilom. Nie wątpimy, że będzie się podobała naszym czytelnikom:

„Aa. A... Kotki dwa; szare, bure obydwa, poleciały do parku, narobiły jarmarku, zaglądały do garnków i marszałka zbudziły. Uciekały co siły, na łeb spadła im pałka.

Dobrze im tak! Kotki dwa; brzydko straszyć marszałka. Aa... kotki dwa. (de capo al fini)".

Ładną tę pioseneczkę, uprzedzając życzenia ministra, zakomunikowaliśmy adresatkom. Uszczęśliwione Mańki dokomponowały następną strofkę:

Aa... A. kotki trzy, szary, bury, trzeci pstry, poleciały do boru, narobiły rumoru i pytają się sarny, czy też dziadek jest zdrowy. Na to rzecze sąsiadka: zapytajcie o dziadka, tylko pana Prystora, lub innego znachora. Aa... kotki trzy, szary, bury trzeci pstry, poleciały do Kasy, wyprawiały hałasy. Otwarła się zawora. Wyszedł woźny: Ej fora, zaraz mi tu ze dwora już spóźniona jest pora, niema tu już Prystora od zeszłego wieczora, trzeba było przyjść wczora". Aa... kotki trzy, szary, bury, trzeci pstry, poleciały aż do wsi gdzie Jasieńko słodko śpi. A ty nianiu Jasia strzeż, by go nie wziął jaki zwierz ani brzydki bebe gad, ni kościany brudny dziad.

CASUS.

Sukcesy!

Ostatnia mowa pana premjera Bartla wzbudziła zachwyt kół naukowych dzielnicy łyczakowskiej we Lwowie. Dzielnicowy Uniwersytet Ludowy imienia Egona Batyara na posiedzeniu Senatu tej znanej instytucji nauczkowej postanowił powierzyć p. Bartlowi katedrę prawa konstytucyjnego i nadać tytuł doktora honorowego.

P. Bartel jest zachwycony tą nową specjalnością, która tak łatwo mu przyszła. Zamierza już podobno porzucić geometrję, oddać katedrę perspektywy pułkownikowi Wendzie (ze względu na jego wielkie perspektywy) i pozostawić sobie z geometrji tylko sprawy trójkąta, który jest przecież najmilszą mu figurą.

Równocześnie nieomal z tem nauczkowem odznaczeniem i zebranie ludowe dzielnicy Łyczakowa przyjęło przez aklamację wniosek następujący:

„Ziomkowie łyczakowscy postanawiają jednogłośnie, by prof. Bartlowi, nieodrodnemu synowi sławnej naszej dzielnicy, który w ostatniem przemówieniu w Senacie dał tak głęboki wyraz naszego rozumienia zasad konstytucyjnych, dać honorowe obywatelstwo z prawem dziedziczenia".

Dostojna publiczność łyczakowska rozeszła się po zebraniu przy dźwiękach marsza fajdanów na nutę pierwszej brygady.

*

TELEGRAM z ANDORY: (Wolna Rzeczpospolita w górach pirenejskich, z ludnością 6.000 ludzi, 16 żołnierzy i jednego, zasłużonego i doświadczonego w górach marszałka)

„Klub badaczy prawa konstytucyjnego naszego mocarstwa mianuje Pana swym członkiem honorowym i zaprasza na kilka wykładów w górach pirenejskich".

*

TELEGRAM z ISLANDJI: „Z okazji tysiąclecia istnienia naszego parlamentu prosimy najwybitniejszego znawcę spraw parlamentarnych Polski o powtórzenie wykładu odbytego w Senacie na naszym raucie ludowym z powodu jubileuszu".

Z kół bliskich Gazecie Polskiej dowiadujemy się ostatnio, że znany pisarz, publicysta p. płk. Koc zrzekł się stawiania w tym roku kandydatury swojej do literackiej nagrody Nobla. Szlachetny pułkownik ma ponoć zamiar ustąpić należnego Mu miejsca któremuś ze starszych „kolegów" pióra w zachodniej Europie, ewentualnie Jehannie Wielopolskiej.

Ciekawy zbieg okoliczności...

W przedwojennym, znanym kabarecie artystycznym „Momusie" występował (kiepski zresztą) humorysta - komik, niejakiś p. Godecki.

W Sądzie Apelacyjnym w Warszawie pracuje również p. Godecki, podprokurator, znany i zasłużony specjalnie ze swej „owocnej" działalności w słynnej „Komisji do Walki z Nadużyciami".

Ciekawy zbieg okoliczności — raczej nazwisk.

A może... może niewłaściwy człowiek na niewłaściwem (dla niego) miejscu...

Kto wie?

HOCKI — KLOCKI

W pewnem towarzystwie „pierwszobrygadowem" toczy się w wieczór imieninowy ożywiona dyskusja na temat ostatniego artykułu Marszałka. Ktoś znajduje nieśmiało, że ustęp, dotyczący „zezwolenia" zastrzelenia pos. Trąmpczyńskiego jest może trochę za... śmiały.

Na to odzywa się pewien pułkownik, komendant jednego z stacjonowanych w stolicy pułków, znany z głośnych imprez „pojedynkowych" — „nie rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć; przecież Komendant wydał w ten sposób glejt bezpieczeństwa Trąmpczyńskiemu".

*

Nazajutrz po imieninach spotykają się w tramwaju dwaj dawni towarzysze broni. Jeden już w stanie spoczynku, drugi, czynny na ważnem stanowisku w M. S. Wojsk.

No cóż powiesz na ten „talerz z ekskrementami" — mówi emeryt. Daruj — odpowiada zapytany, że własnej opinji nie wypowiem. Ale wszyscy moi koledzy w biurze uważają to za nowe „genjalne posunięcie"...

*

Przed sążnistemi afiszami, wzywającemi do wzięcia „masowego" udziału w obchodzie imienin Marszałka, stoi grupka wracających z Belwederu oficerów.

Ktoś z nich podnosi, że jakaś tajemnicza ręka wypisała na afiszach popularne słowo: „fajdan" i przytem... dwa zera..

Jakieś „obwiepolskie drańtwo" irytuje się drugi.

Dajcie spokój — mówi stateczny i pogodnie usposobiony podpułkownik — to jakiś gorliwy czytelnik artykułów Marszałka.

*

Podobno klub BB. nie zadawalnia się imponującą wprost deklaracją zrzeczenia się nietykalności poselskiej, ale ma iść jeszcze dalej, by udowodnić gremjalne i wyłączne posiadanie praktykowanie śledzenia cnót. A mianowicie, przygotowują deklarację, żądającą wprowadzenia tortur średniowiecznych względem nich wrazie udowodnienia choćby jednego czynu nieaprobowanego przez kodeks. Co więcej, zgadzają się na sądy Boże i gotowi poddać się próbie żelaza, ognia i wody. (Na razie w basenie dla nauki pływania).

es.

*

Ostatnie dnie ubiegłego tygodnia zaznaczyły się w Warszawie pewnem zjawiskiem, noszącem cechy jakby jakiejś epidemji. Gdziekolwiek się weszło, usłyszeć można było między znajomymi dziwne djalogi:

A co, zjadł, czy nie zjadł?

I rzecz jeszcze dziwniejsza. Na tak zagadkowe pytanie wszyscy niemal odpowiadali zgodnie i to w formie twierdzącej.

*

Mało kto zauważył, że w kalendarzu imion słowiańskich przypadają pod datą 21 marca imieniny... Bogusława.

W związką z tą datą kursuje od kilku dni w sferach sanacyjnych nowy dowcip:

Jaki jest najmodniejszy obecnie prezent imieninowy?

Wyrok „Sądu Obywatelskiego".

*

Wybitny sanator czyta jedną z broszur Lenina, wydaną jeszcze przed wojną światową.. Uderza go podany w niej aforyzm autora, tej treści, że sztuka żądzenia polega na wyzyskiwaniu.. szubrawców ze wszystkich partyj.

Jednak to był genjalny człowiek ten Lenin — mówi z zachwytem nasz sanator...

Pewnego Anglika, bawiącego w Polsce przez dłuższy czas, poprosił przed kilku dniami na ... jezdnem jeden z sanatorów, aby mu skreślił na pamiątkę kilka słów.

Anglik zadośćuczynił tej prośbie i wpisał do notatnika następujące zdanie:

„The mad men lead the blind men" co mniej więcej oznacza, że ludzie szaleni rządzą ludźmi ślepymi....

Skrzywił się na te słowa nasz sanator. Uspokoił się jednak dowiedziawszy się, że to tylko cytat z jednej tragedji Szekspira...

*

Z rozmów, jakie desygnowany na premjera marsz. Szymański przeprowadzał z przedstawicielami wszystkich po kolei klubów i klubików w Sejmie, okazało się, że finałem wszystkich tych „konferencji" była wspólna fotografja, jaką przyszły premjer proponował „na miłą pamiątkę".

Dowiedziawszy się o tem jeden z wybitnych członków BB., oświadczył, że jest to rzeczywiście jedyna „pamiątka", jaka pozostanie po 8-dniowej „misji" p. Szymańskiego.

* *

W związku z „misją" p. Szymańskiego opowiadają w kołach BB., że ułożył on już w kilka godzin po otrzymaniu „misji" listę swego gabinetu, a to przy gorliwej jakoby współpracy p. wice-marszałka Gliwica.

Przypadek zrządził, że o tej „niespodziance" dowiedział się w czasie przedstawienia galowego w Operze p. o. premjera p. Bartel i czemprędzej złożył wizytę w loży p. Szymańskiemu, aby mu ...wytłomaczyć, że zbyt szybko i zbyt dosłownie pojął on swą „misję".

Podobno tej „wizycie" zawdzięczać należy, że wbrew pierwotnym zamiarom p. Szymańskiego „rozmowy" jego z klubami trwały aż pełne pięć dni.

*

W związku ze spodziewaną nominacją posła Burdy na ministra pracy, zapisał się już pan poseł na lekcje prawidłowego boksu, celem należytego przygotowania się do expose w Sejmie.

SĄD MARSZAŁKOWSKI.

W związku z ogłoszonym przez nas w różnych odstępach czasu artykułami, omawiającymi działalność publiczną p. Karola Polakiewicza, posła na Sejm, zwrócił się ten ostatni do Marszałka Sejmu o powołanie Sądu Marszałkowskiego.

Sąd Marszałkowski w składzie pp. posłów: Dębskiego („Piast") superarbitra oraz Jankowskiego (N. P. R.) i Kościałkowskiego (B. B.) rozpoczął swe czynności w dn. 22 marca r. b. Orzeczenie Sądu spodziewane jest w dniach najbliższych.

Pieśń dziadowska

Posłuchajta, ludkowie,
Co Wam dziadek znów powie:
Powie o nowych „wyczynach",
O szemraniach... „imieninach"
Niby o tej galówce.

Dziad ci jezdem ciekawy
Wglądam do każdej sprawy.
Więc i w owym dniu Józefa
Patrzyłem jaka „uciecha"
Po całym kraju hasa.

Jak jest Polska szeroka:
Wszędy żal „na dnie oka"...
A jak ci ta Polska długa:
Odpada i wierny sługa
Od Józwowych bebechów...

Gdy przyszły „imieniny"
Naród urządza... „kpiny".
Nie chce słuchać „bregadówki",
Przeróżne strzelca „kadrówki"
Żegna kocią muzyką.

Krzyczą: dosyć galówek,
Wend i sieczko - surówek.
Nie chcemy znać i „mesjasza",
Skoro ginie sprawa nasza:
Polski całej i Ludu.

Sanatorska z Kielc kupa
Poprosiła biskupa:
By przewodził w komitecie,
W jakim — to już wszyscy wiecie;
Niby imieninowym.

Biskup odpowiedział im:
Nie zgadzam się na ten „prim".
Prezydenta dzień imienia
Skromny był, bez „podniecenia"
Po co hałas dla jenszych?

W nędzy kraj pogrążony
„Oni" tracą miljony.
Sztuczny hałas, sztuczna blaga,
A lud ciągle się domaga,
By skończyli komedje.

BIS.

Bajki.. ekskrementacyjne

JERZYK NA WIZYCIE.

Jerzyka na wizycie, gdy „natchnienie" wzbiera
Pyta grzecznie Walerka, gdzie tu są... 00?
Walerek na to z dumą: — U n a s mój Jerzyku,
T a k i e rzeczy się składa wprost... na talerzyku!

PEPI i WOLA.

Mały Pepi, był kiedyś „ogromnie zajęty"
(Wpatrywał się w leżące przed nim ekskrementy).
— Co robisz? — Ćwiczę wolę! — Co temi g... łupstwami?
Wmawiasz w siebie, że one są... konfiturami.

HARRY.

Sławojka

Pewnego razu różne budowle i sprzęty,
O kwestjach politycznych wiodły spór zawzięty. —
A właśnie pewnemu, (ex minister), panu—
Groziła przykra sprawa w Trybunale Stanu.

*

Że pono 8 przeszło miljonów zmarnował...
To pewne — że z odbioru ich — s a m pokwitował).
Oburzano się przeto: — „Skandal rekordowy!
Wspierać partję, w epoce nędzy mieszkaniowej!

*

Szosy, drogi, szpitale i fabryki —
Wnet temu przyklasnęły, wrzask podnosząc dziki.
A w tem, z kąta: — „Mylicie się" — nagle zabrzmiało:
To człek wielki! Dbał przecie o higjenę... ciało...

*

O gleby nawożenie... przezeń istniejemy
I, do głębi... — serc wdzięczne — bronić go będziemy.
„Co tam znów — krzyk się podniósł — za parszywe gnojki!?
„To m y — zabrzmiała dumna odpowiedź... — s ł a w o j k i".

HARRY.

Cena prenumeraty: rocznie zł. 15, kwart. zł. 4, mies. zł 1.50 **Zagranicą:** rocznie 3 dol. am. półrocz. 1.50 dol. am. kwartalnie 90 cnt względnie równowartość w innej walucie) **Ceny ogłoszeń:** 1/1 str. 300 zł., 1/2 160 zł., 1/4 90 zł., 1/8 50 zł; w tekście o 35% droże

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul Sienna 33, tel. 106-25 **Konto P.K.O. 19.070.**

Wydawca: **Wacław Dziekoński.** Druk. „Ars", Warszawa, Sienna 33 Red. odpowiedzialny: **Józef Dziekoński.**